



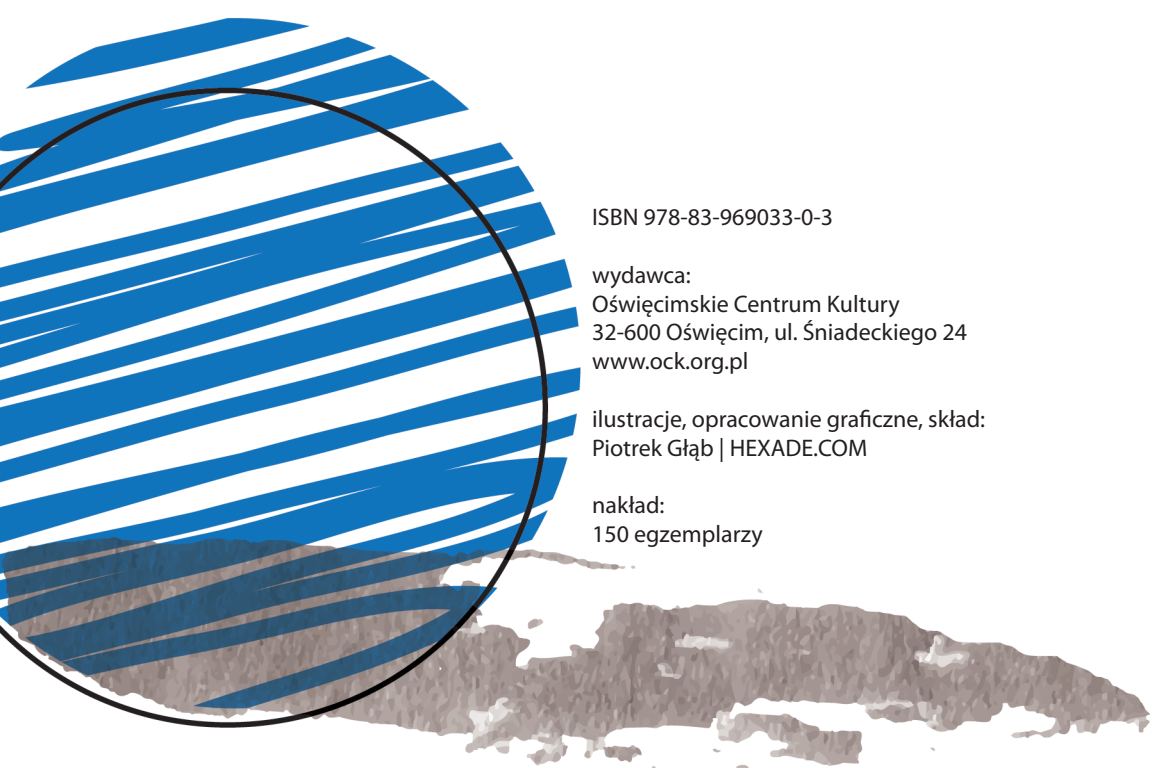
PISANIE
DOBRE
NA
CHANDRE





Pisanie dobre na chandrę

XXI Ogólnopolski Konkurs Literacki
Oświęcim 2023



ISBN 978-83-969033-0-3

wydawca:
Oświęcimskie Centrum Kultury
32-600 Oświęcim, ul. Śniadeckiego 24
www.ock.org.pl

ilustracje, opracowanie graficzne, skład:
Piotrek Głąb | HEXADE.COM

nakład:
150 egzemplarzy

Pisanie dobre na... świat

Kolejny konkurs pod hasłem „Pisanie dobre na chandrę” za nami. Czym jest chandra? To smutek, ból. Jest wewnętrzny smutek i jest smutek, ból świata. Po plonie tegorocznego konkursu widać, że poezja reaguje na zło, które dzieje się na świecie. Bo jakże inaczej wytłumaczyć tyle wierszy dotyczących rosyjskiej agresji na Ukrainę i cierpienia, jakie przeżywa ten kraj i jego mieszkańcy? Oczywiście zdarzały się teksty, które były tylko odpryskiem newsowych informacji, niezbyt literacko „przetrawioną” publicystyką. Ale były też takie wynikające z bólu i współodczuwania, z troski i pięknej dawnej wiary, że literatura, poezja powinny opowiadać się po stronie słabszych i krzywdzonych, bo przecież „ci, których dotknęło nieszczęście, są zawsze samotni”.

W prozie natomiast wyraźnie widać pewną zmianę. Kilka edycji wstecz otrzymywaliśmy bardzo dużo tekstów z gatunku fantasy. W tym roku pojawiły się nieliczne, natomiast wzrosła ilość opowiadań odnoszących się do polskiej historii; czasami są to wręcz zapisy oparte na autentycznych relacjach lub (także własnych) wspomnieniach. Jakby autorzy zrozumieli, że zamiast wymyślać (kreować) świat magów i wojowników walczących z nadprzyrodzonymi demonami, można też pochylić się nad tym, co bliższe oraz – przede wszystkim – prawdziwe. Bo przecież wiek XX również miał swoje epopeje, demony i heroicznych bohaterów.

W wielu tekstach – tak poetyckich, jak prozatorskich – znajduje odbicie współczesność. Przed nią literatura nigdy nie ucieknie, być może nawet opis współczesności jest największym wyzwaniem dla autora. Pamiętajmy, że na przykład – toutes proportions gardées – Bolesław Prus, pisząc „Lalkę”, opisywał (własną) współczesność. A Wokulskiego czy Rzeckiego trapiła... chandra, czyli niezgoda na rzeczywistość i żal za znikającymi wartościami.

Marcin Hałaś



Jury:

Marcin Hałas
Marian Kisiel
Adam Ziemianin

kategoria: poezja

I nagroda

Magdalena Cybulska (godło: Pustułka) – Łódź

II nagroda

Hanna Wasiak (godło: Sosna) – Ustroń

III nagroda

Janusz Koryl (godło: Kartezjusz) – Rzeszów

wyróżnienia:

Piotr Zemanek (godło: Przyczyłek empatii) – Bielsko-Biała

Anna Piliszewska (godło: Len) – Wieliczka

kategoria: proza

I nagroda

Bogdan Nowicki (godło: Sen) – Świętochłowice

II nagroda

Katarzyna Wieczorek (godło: Opaliti) – Kraków

III nagroda

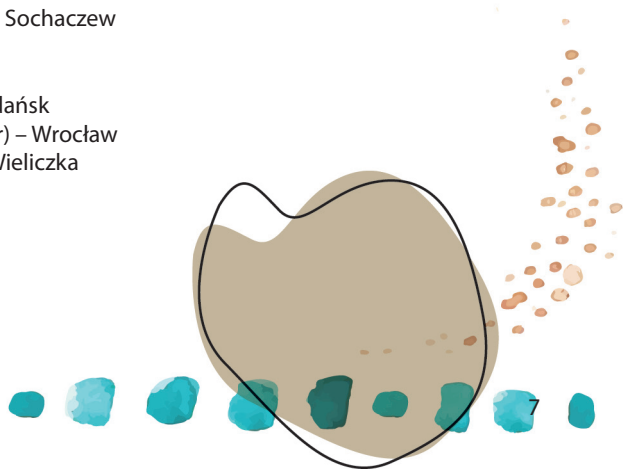
Agnieszka Sławińska (godło: As) – Sochaczew

wyróżnienia:

Mateusz Dudek (godło: MJD) – Gdańsk

Andrzej Liczmonik (godło: Kangur) – Wrocław

Anna Piliszewska (godło: Śryż) – Wieliczka





POEZJA

I NAGRODA

MAGDALENA CYBULSKA

(godło: Pustułka), Łódź

Ta pora roku między zimą a wiosną, gdy świat wydaje się tak szary, że już bardziej szary być nie może. Matka Boska przy przystanku, pewnie marzną jej stopy. Modli się za nieobecnych, tych ciągle w drodze. Nagie drzewa, naga rzeka, nagie ziarenka piasku. Nawet niebo jest gładkie, brak mu dramatycznych konturów. Ptasie budki wtulone w ciszę. Stare domy umierają powoli, wyszarpując kolejne minuty życia. Stają się łyse, bezzębne, kulawe. Tracą słuch i wzrok. Czy ludzie byli w nich szczęśliwi, czy przychodziły do nich dobre sny. Nie ma się już kogo o to zapytać. Garnki, krzesła, poduszki gdzieś odpłynęły. A może odleciały. Idziemy pod górkę do romańskiego kościółka. On chłodnym okiem obserwuje bezpiecznych ludzi, bezpieczne psy i bezpieczne jaskółki. Mnożą się bezpłciowo kopce kretów. Coraz ich więcej. Zasiedlają krajobraz. Jak jakaś obca forma życia, nie z tej planety. Ja ciągle w drodze. Choć nie znam rozkładu jazdy.

Kiedys pójdziemy nad rzekę. Powiesz, że wszystko, co musiało się wydarzyć, już się wydarzyło. Nigdy tak naprawdę nie poznamy źródeł. Plaża schudła. A może mi się wydaje. Bo gdy miałam siedem lat, była olbrzymia. Widocznie ziarenkom piasku wyrosły skrzydła i odleciały. Przy brzegu była głębia. Trzeba było stawać na palcach, aby rzeka Cię nie pochłonęła. Na środku zaś brodziłam, mocząc zaledwie kostki. W miękkim piasku nie zostawiałam śladów. Dziś nawet ważka nie może poświadczyć, że tam byłam. Słońce zamykało bramę horyzontu. Wieczór toczył się powoli i ociężale. Gaśły wysokie cienie drzew. Ptaki milkły. Wierzyłam, że zmarli i żywi pewnego dnia znów zaczną mówić w tym samym języku. Połączą nas słowa. A las odmłodnieje. Wrócą dawno ścięte drzewa. Kamienie, które wyjmuję dziś z wody i kładę na brzegu, stracą pamięć. Znów będzie trzeba od początku zapisać w nich całą historię ludzkości. Chmury wrócą do miejsca swojego urodzenia. Rozłożymy lipcowy koc nad brzegiem. Już nie będziemy musiały nigdzie odchodzić. Życie bowiem skurczy się do wielkości pestki czereśni.

Nie rozpoznałam późno zimowej rzeki. Sterczały nad nią nagie gałęzie. Straciła intensywny kolor, sierpniowe, głębokie ciepło. Nawet niebo nie moczyło w niej stóp. Gdzieś odlecieliśmy. Pozostawiając nad tym brzegiem nasz smutek. Wszystkie puste godziny i dni. Całą szarość chodnikowych płyt. Miejskie chmury. Milczeliśmy i rzeka milczała. A tyle słów w nas płynęło. Jak małe srebrne rybki. Jak puste muszki ślimaków. Czasem, gdy zamykałam oczy, wyobrażałam sobie, że jestem ziarenkiem piasku. Na jej dnie odnajduję początek drogi.

Obejmuje mnie wielka olcha. Wymawia moje imię. Wiem, że jestem w domu.
Pod dachem powideł śliwkowych.

Pod synagogą wiejscy pijaczkowie próbują skleić dzień odchodzący z dniem następnym. Jeden z nich ma oczy barwy nieba. Choć zapewne dużo wie o życiu, woli się tym nie chwalić. Kupuję piwo i idę nad rzekę, aby nauczyć się od niej spokoju. Ważki obsiadły krajobraz. Trzciny śpiewają. Otwieram oczy ziarenkom piasku. Nie można wiecznie drzemać. Trzeba płynąć pod prąd. Choć to trudne. I najczęściej pozostajemy w miejscu, chociaż każdy z nas ma nadzieję, że jest choć trochę bliżej źródeł. Nadal nie wiem, jakiego koloru jest samotność. Może choć na chwilę zagnieżdżą się w niej jaskółki lub kropelki wody.

ZNIKANIE

Tamtego roku rzeka była łaskawa i pozwoliła nam przejść na drugą stronę. Nad jej brzegiem wykiełkowały dzieci. Krzyczały i pochłaniały wakacje jak gofry z bitą śmietaną. Kładłam sobie pod głowę lipiec niczym miękką poduszkę. Brzęczało niebo. Łąka pachniała poezją. Stare wierzby układały się do snu wiecznego. Na lewym lub prawym boku. Choć nie wierzyłam, że to może kiedyś nastąpić. Przychodziły krowy niosące upał i muchy na grzbiecie. Grzebałam w piaszczystym brzuchu rzeki. Wydobywałam muszelki i kamyki. Byłam zbieraczką dziwów. Najbardziej spodobał mi się kawałek sosnowego pnia z krętymi korytarzami korników. Ktoś mi wcześniej mówił o ich państwie, ale traktowałam to jak bajkę. Tak, wszystko może się wydarzyć. Zniknęli moi bliscy jak czarne jeżyny rosnące przy polnej drodze.

II NAGRODA

HANNA WASIAK

(godło: Sosna), Ustroń

SIEDMIOSTRUNNA GITARA

Gitara

dwunastoletniej Stefanii

jeszcze wisi

na ścianie

zbombardowanego bloku w Kijowie

Widać resztki

tapczanu

szafy

biurka

krzesła

W oknach bez szyb powiewają tiulowe franki

Wiatr gra na siedmiu strunach gitary

SKRZYPCE W RUINACH

Na dopalających się zgliszczach w Buczy

siedział człowiek

Grał na skrzypcach

Nie miał już i żony i dzieci

Zostały mu tylko te skrzypce

Grał

Rosjanie zastrzelili i jego

Dźwięki skrzypiec jeszcze słycać

na dogasających zgliszczach w Buczy

Módlmy się za Ukrainę

Pray for Ukraine

Molytva za Ukrainu

KRZYK

12-letni Sasza miał pisać gęsim piórem

i atramentem z kałamarza

Dałam mu karteczkę i przybory

Zaczął rysować – najpierw nieśmiało – po prawej stronie kartki – pojazd.

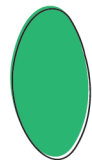
Jakby ciężarówka z lat sześćdziesiątych

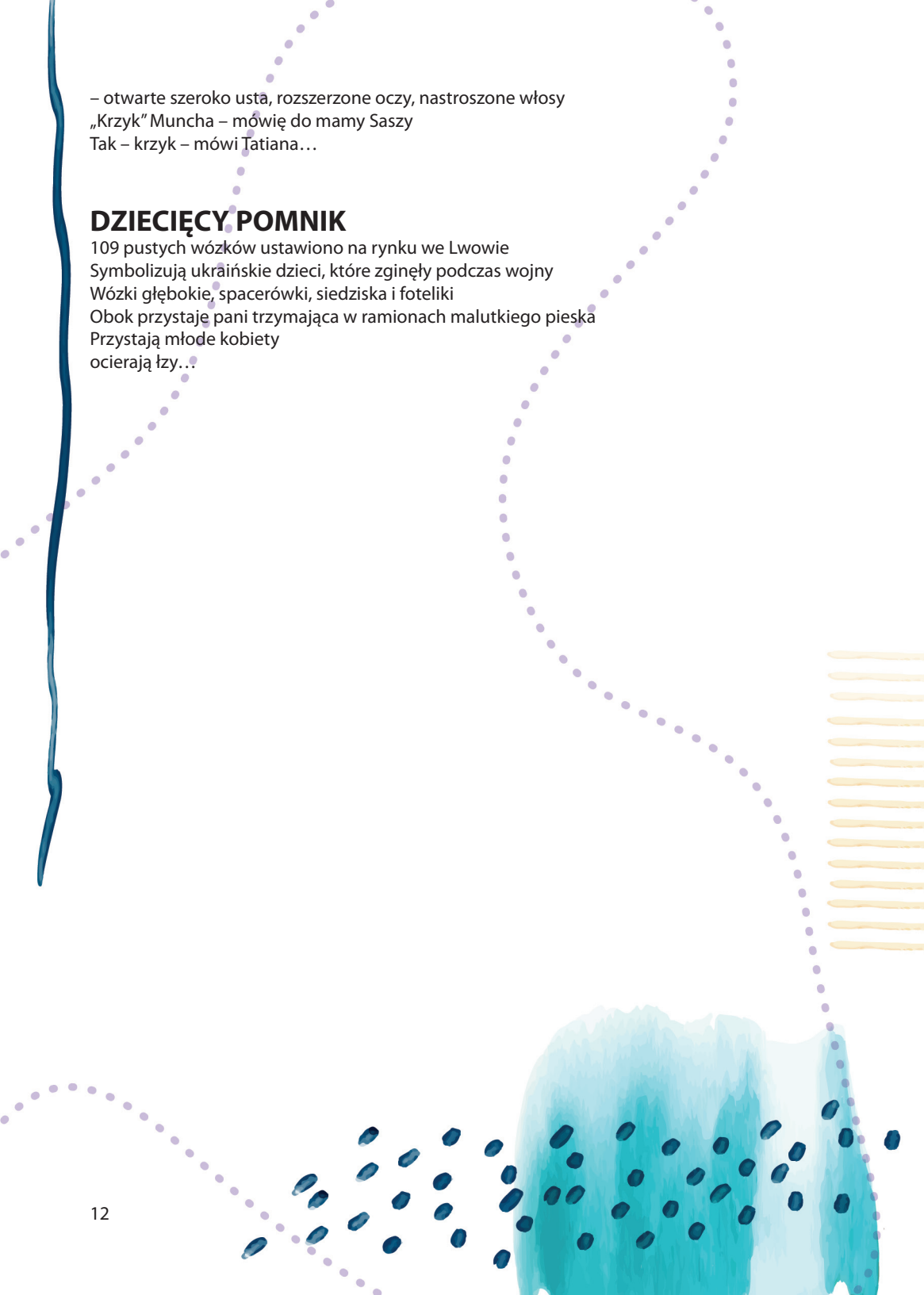
taka do przewozu towarów – albo i ludzi – z odkrytą plancką

A resztę kartki zajęła ogromna głowa i maleńki tors

Człowiek? manekin? kukła???

Głowa krzyczała





– otwarte szeroko usta, rozszerzone oczy, nastroszone włosy
„Krzyk” Muncha – mówię do mamy Saszy
Tak – krzyk – mówi Tatiana...

DZIECIĘCY POMNIK

109 pustych wózków ustawiono na rynku we Lwowie
Symbolizują ukraińskie dzieci, które zginęły podczas wojny
Wózki głębokie, spacerówki, siedziska i foteliki
Obok przystaje pani trzymająca w ramionach malutkiego pieska
Przystają młode kobiety
ocierają łzy...

III NAGRODA

JANUSZ KORYL

(godło: Kartezjusz), Rzeszów

W prostych żołnierskich słowach

– Co ja tu będę robił?

myśli poeta siłą wcielony do wojska.

Za dużo krwi, za mało metafor.

Do tego ten zapach strzelniczego prochu
zamiast kwiatów w ogrodzie.

Poeta przymierza mundur

i nową kwadratową duszę.

Słowo „baczość” robi zawrotną karierę.

Wszystko ma swoje ściśle ustalone miejsce.

Nikt tu nie czyta poezji.

Szef kompanii nazywa się Rafał Wojaczek.

Też dużo przeklina,

ale nie myśli o samobójstwie.

Nigdy nie słyszał o autorze „Sezonu”

i jest mu z tym dobrze.

Poeta cierpliwie doskonalili musztrę

i czyści karabin.

Po pewnym czasie zrozumie,

że da się żyć bez poezji,

a wszystko można wyrazić

w prostych żołnierskich słowach.

Na pierwszej linii ognia

Był odważny i groźny jak lew.

Zawsze obecny na pierwszej linii ognia.

Na jego widok żołnierze wroga

chowali się w okopach.

Zabijał bez skrupułów z poczuciem

dobrze wypełnionej misji.

Krew nie robiła na nim większego wrażenia.

Liczyło się tylko zwycięstwo

i liczna kolekcja medali:

za męstwo, za lojalność, za upór,

za miłość do ojczyzny.

Umykał śmierci skutecznie.
Odnosił kilka niegroźnych ran.

Dziś miły, poczciwy staruszek
prowadzi sklep z dewocjonaliami.

Zwycięstwo

To było wielkie zwycięstwo.
Jedno z tych zwycięstw, które zostają
w historii na zawsze.

Ludzie wznosili radosne okrzyki.
Opatrzono wszystkie śmiertelne rany.
Wędkarze wrócili do łowienia ryb.
Poeci wrócili do pisania wierszy.

To było wielkie zwycięstwo.
Przegranı odeszli ze spuszczoną głową,
wlokąc za sobą podarte sztandary.
Udało się wreszcie wyrównać rachunki.
Noce przestały być zimną ojczyzną
pająków i nietoperzy.

Gwiazdy odzyskały swój blask.
Filozofowie wrócili do przerwanych rozważań
o szczęściu człowieka.

Mój bóg

Mój bóg ma urodziny
w tym samym dniu, co ja.
Codziennie rano zażywa
lekarstwo na nadciśnienie.
Nie lubi ciemnego pieczywa
i gorzkiej czekolady.

Mój bóg pracuje na pocztce
przy sortowaniu listów.
Najwięcej roboty ma przed świętami.
Urlopy spędza zwykle nad morzem,
którego szum działa na niego
jak balsam.

Mój bóg ma na Facebooku dwa konta.
Jedno prywatne, drugie służbowe.
Rozmawia ze znajomymi
na rozmaite tematy.

Unika tych, którzy wszystko wiedzą najlepiej
i teologów.

Mój bóg traktuje świat
z przymrużeniem oka.
Poglądy polityczne są jego
osobistą sprawą.
Najbardziej ceni swobodę działania
i zdrowy rozsądek.

Mój bóg jest ateistą.



WYRÓŻNIENIE

PIOTR ZEMANEK

(godło: Przyczulek empatii), Bielsko-Biała

UKRAIŃSKA GOLGOTA

Rdza

*Synkowie, wykopałam sobie grób na podwórku,
jeśli mnie zabiją, zakopcie mnie tu, tu jest moja Ukraina.*

dokąd płyniesz rdzawa rzeko. rozlewasz się po polach i drogach.
wdzierasz się do miast. na ulicach zostawiasz swój krwawy ślad.
od tylu lat twoje źródła biją wciąż na nowo. nie chcą zaschnąć,
tak jak zasycha krew na skórze i włosach, jak tężeje rdzawy pył
na twardej stali, kiedy przelewasz się po obcej ziemi i płoniesz.

dokąd podążasz okrutna i bezduszna wodo. wypłukujesz rowy
wypełnione ciałami jak groby. drążysz coraz to nowe koryto,
zabierając ze sobą w powodzi ludzi, domy, zwierzęta i drzewa.
niszczysz mosty z trudem budowane przez wiele lat pomiędzy
brzegami dłoni, choćby były z najtwardszego kamiennego snu.

nie pozostawisz suchej ziemi na żadnym kontynencie. będziesz
co kilkadziesiąt lat zbierać rdzawe żniwo. człowiek nie będzie
uciekał, nie opuści swojego miejsca. pozostawi kości bielejące
w piasku rdzawej od krwi ziemi, rozsypanej w chorych głowach.

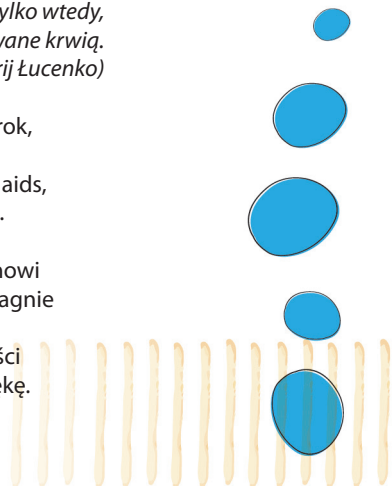
To nie ludzie

*nie przywykłem do śmierci, ale wiem,
że koło historii kręci się tylko wtedy,
kiedy jest smarowane krwią.
(Jurij Łucenko)*

dwie czerwone opaski na ramieniu w przypadku zranienia to wyrok,
nikt cię nie podniesie. Uciekając, zabierze ci wszystko z kieszeni
i zostawi, żebyś zdechł. taka jest ranga symbolu. jedna opaska to aids,
druga – skazany. potem rzuca ciało na stertę, żebygniło w błocie.

ludzkie mięso jest tanie i jest go pod dostatkiem. dlatego wciąż nowi
najemnicy kręcą tym kołem. toczą pośród trupów grzęznący w bagnie

wóz, na którym siedzi Pani ich losu. HIMARS-y będą mielić ich kości
i skórę, mieszać z ziemią. jednych z niej zabiorą, innym skrócą mękę.



nowe zastępy wyrzutek, upojone alkoholem i nienawiścią, bezwładne, pchane wichrem jak papierowe łódeczki, wypłyną na wzburzone morze, żeby tonąć. nie wiedzą, po co płyną. nie zawrócą, bo kula w łeb, ale jak trafi się okazja, żeby zanurzyć rękę w czyjejś kieszeni, zejść na dno.

Ja ubił twajego męża

byłem tam, w tym domu na skraju wioski. widziałem go, Internet jest oknem na świat. słyszałem, jak mówi do tej kobiety: zabiłem twójego męża, leży za progiem. teraz z tobą pogadam. rozbieraj się, szybko. dzisiaj mam dobry dzień, więc ciebie nie rozwalę. tylko chodź na górę. pokaż, gdzie masz vyro.

patrzyłem w monitor i czułem zapach jego brudu i potu. krew uderzała kolbą w głowie, krótkie tłuste ręce zaciskały się na moim gardle, kiedy krzyczał do niej: zdejmij już to z siebie, nie będę się z tobą pieścił. nie klękaj mi tu i nie jęcz, bo walnę małemu z kałacha i zobaczysz, jak mózg młodego lata po pokoju.

w żołądku eksplodował mi granat, a on: teraz ja pan. mogę robić, co chcę i nic mi nie zrobią. mogę cię zabić albo mieć, ile tylko będę chciał. no, daj jeszcze wódki, pić mi się chce. fajki masz? no, nie! nie masz? no, to jednak będę musiał cię zastrzelić! upadłem. włożył mi rękę do brzucha i wyrwał kabel. ściemniało.

Zawróć kulo

dokąd gnasz na złamanie karku, dzień za dniem, 24 godziny na dobę. w ciemność. w przepaść. do utraty. do nicości. nikt już nie ma czasu na siebie, każdy pędzi na oślep, jakby cię chciał, ślepy – dogonić.

dokąd biegiesz, obracając się wokół osi, żeby mieć większą stabilność w locie i pewność celu. po co przekraczasz granice i prędkość światła, przetaczasz się przez mgławice i obłoki kurzu. wychodzisz z mgły jak z drogi mlecznej, byle do ziemi. do ziemi. jeszcze zanim dasz łyk wody i tlenu na pierwszy i ostatni oddech ciała karmiącemu uciekające, płochliwe, ludzkie zwierzę we mnie.

dokąd zmierzasz, tnąc powietrze ze świstem. nie znając celu, nie wiedząc, komu jesteś przeznaczona, komu oddana do śmierci, do ostatniego tchu, utraty jasności. dopóki noc nas nie połączy. zatrzymaj się, zwolnij, żebyem zdążył się schronić. zanim uderzysz i przewrócisz wszystko. odbierzesz mi słowa, które rosną we mnie. wiarę w światło i tego, który cię pchnął albo tylko nacisnął spust.

WYRÓŻNIENIE

ANNA PILISZEWSKA

(godło: Len), Wieliczka

DROGA PRZEZ IRPIEŃ

bezimienna dziewczyno z psami, w drugim tygodniu
ukradkiem wyklutej wojny, w bombardowanej jawie – uciekaj
dokądś, uciekaj!

zabrałaś zamiast walizki gromadę kulawych zwierząt. w dal
nogi niech was prowadzą. gdzieś na pewno jest schron, jakiś
bunkier czy rów, łaskawy

azyl. zmierzchem – jak peleryną-niewidką
okryj siebie, opatul się cieniami skamlących, zgruchotanych
uliczek. nie masz wody, prowiantu – zatem strach

niech was chłodzi, marszruta syci. po poświacie
jak wełnie wyprutej z kłębka księżycy, po rozmiądzonym szkle
przejdiesz nad rwącą wodą

na szronem pokryte brzegi, tylko nie myśl o śmierci, szczecinie
zła w plamach rdzy. Ten, który czyta w myślach, wschodzi
razem ze słońcem – rozgląda się. widzi.

BOMBARDOWANIE ZOO

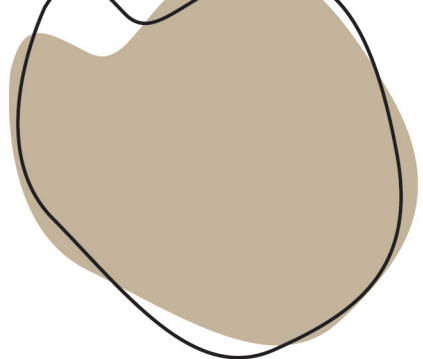
eksplozji nie uchwyciła ani jedna migawka,
bo trzeba było się chować. gdzieś. natychmiast

uciekać. w życiu ważne jest życie: wszelkie –
także i zwierząt, dlatego ludzie wrócili, gdy już było

po wszystkim. zebrano truchła. część saren,
strusi, pawi, muflonów czmychnęła w pobliście

lasy. część krążyła w pobliżu; przynoszono im z osad
jadło, aby nie padły, więc mogą mówić

o szczęściu. i mogą dziękować Bogu w swym
niehumanym języku za oddech, za pieski byt,



wietrząc w odrealnionej, skałeczonyj przestrzeni
posokę, gryzący swąd, czarny

śnieg, niewiadomość.

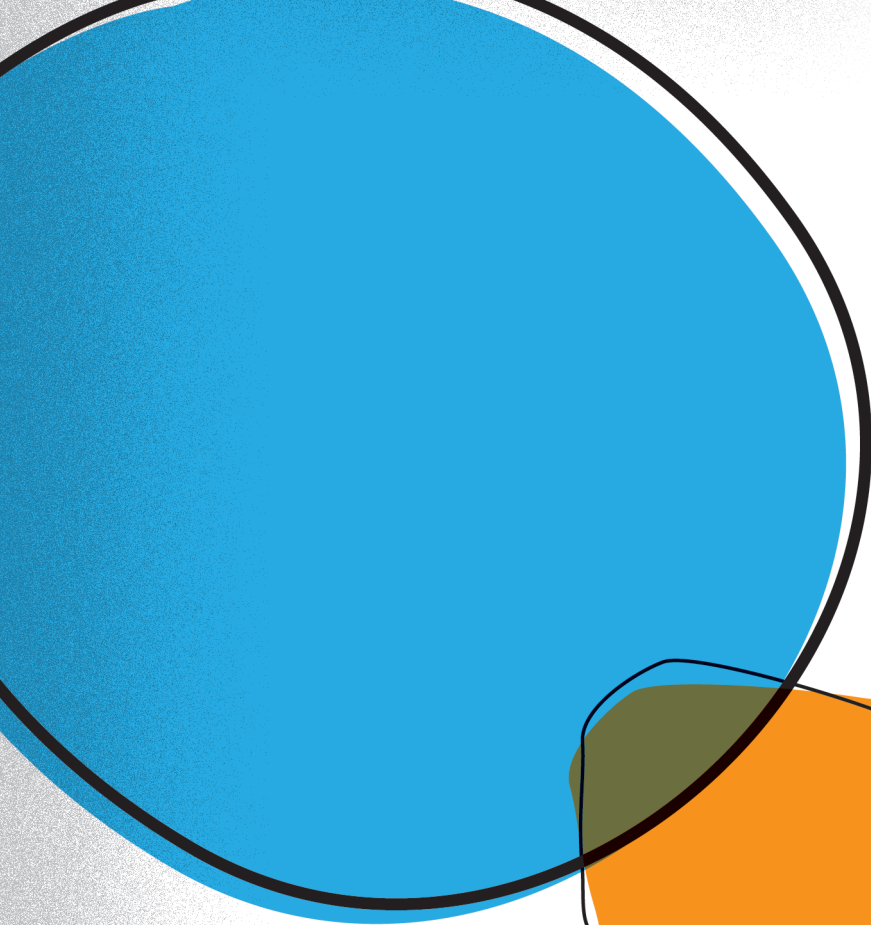
WYCHODZENIE Z SZAFY

odbywało się z dozą gorzkiego rozczarowania – nie było Narni i lodu, ani żadnego lwa. wszystkie magiczne przejścia, jeśli w ogóle tam były, wyżał proszek na mole, mocowany w saszetkach w dyndających rękawach albo w lnianych woreczkach, utykanych w kieszeniach nicowanych paltotów.

w snach półłysych futerek chwiały się delikatnie nasze dziecięce lęki i pajęczce farfocle, na których osiadał kurz – kichaliśmy z przejęciem, gdy macocha i ojciec pakowali do pudła wysłużone przedmioty. wypłoszył nas nagły przeciąg, obce głosy, drętwość nastroszonych kołnierzy, skowytania

metal – a może było inaczej? jeszcze przez jakiś czas niosła się w nas nadzieja na zmianę dekoracji, czasu, miejsca, odzieży. potem już nie – więc wyleźliśmy z szafy pokonani, dorośli, obrażeni na wszystkich, którzy cichcem pierzchnęli z warczącego pejzażu; na moździerz, na wróble

dymiące w niebo.



PROZA



I NAGRODA

BOGDAN NOWICKI

(godło: SEN), Świętochłowice

CIE NIE

PUCHOWA

Nic jeszcze nie zakłócało ciszy. Nawet wrony nie pokrakiwały – bezszelestnie machając skrzydłami, leciały gdzieś wysoko po niebie. Szyby zapalały się od słońca – ale całkiem cicho jak świece. Z fasad domów osypywał się tynk. Chrobocące krzaki wrastały w zmurszałe cegły. Powłóczysty poblask podwórza odślaniał koślawe, popękane sztachety, które na krawędziach, nasiąknięte wilgocią, robiły się zamshowe. W rozeschłych, szcherniałych okiennicach drgały drzazgi.

Czyż cień wyszedł z sieni i zaczął smarować ośki w małym, drewnianym wózku. Obręcze kół były poobijane od kocich łbów. Oprószony popielatym kurzem, Izaak Goldkopf zawsze miał skulone ramiona i zgarbione plecy. „Nu, to dla Jahwe – tłumaczył – coby tutaj, we świecie dać Mu wienicyj miejsca”.

To był taki jego prywatny, osobisty cimcum. O zmierzchu, przy ogarku, grzebał drżącymi palcami w talmudycznej encyklopedii „Erech Miln”, więc uważał się za obeznanego w wierze przodków. Nawet uczniowie chederu spędzali u niego wolne od nauki chwile, pytając o to czy owo.

– Czy wiecie, co to jest wieczność? – zapytał kiedyś jeden z chłopców, zagryzając pszenną, słodką chałkę.

– Jest to dziesięć wiorst niczego – odpowiedział Goldkopf, szperając kciukiem w żółtej brodzie.

– A co to jest, w takim wypadku, to nic? – nie odpuszczał zadziorny młokos.

– Nic to jest zawsze i wszędzie – odparł starzec i masną językiem, bo nagle przypomniał sobie o niedokończonym zapisie w księdze buchalteryjnej z dziennego utargu.

Kiedy rozdzwoniły się śpiewne kadencje dachowych ptaszków, wózek był już gotowy. Goldkopf wstał i poszedł do pachnącego rumiankiem składu. W mrocznym wnętrzu znajdowały się wysokie, sięgające pod sam blaszany sufit, sterty miękkich, puchowych poduszek. Zapach rozgniecionego po kątach aromatycznego ziela, przenikał je na wskroś. „W takiej wonności lepiej się śpi” – powtarzał klientom doświadczony sprzedawca, już bez zachęt i cmokań.

Przeniósł osiem poduszek do wózka. Dzisiaj rano miał je dostarczyć dwóm rodzinom: Wajzefiszom oraz Klopferdom. Bez marudzenia złapał za dyszel i ostrożnie wyjechał na uliczkę. Nad bramą wisiał wyblakły szyld: „Puch twój zuch. Skład puchowych poduszek. I. Goldkopf”. Niżej widniał obraźliwy napis, machnięty białą farbą: „Nie kupuj u robaczywego żyda”.

– Tfu!... A ja na to gwizdzę sobie, czy dziś jakiś grosz zarobię! – sarknął sprzedawca i zanucił swoją ulubioną melodię.

Dzień budził się z letargu, co potwierdzały otwierające się okna na wszystkich piętrach kamienic. Ostry blask słońca w szybach zapowiadał upalne południe. Na czarno-szarych kałużach wysychał łopian. Zewsząd dochodziły dźwięczne głosy powitań, pozdrowień i pierwszych plotek, wypowiadanych śpiewnym, przejrzystym językiem jidysz. Nie było w nim mylnych znaków ani kwestii niedopowiedzianych do końca.

Wkrótce cała uliczka zaterkotała innymi wózkami, zmierzającymi na targ. I wtedy, gdy Goldkopf znajdował się tuż-tuż u jej końca, posypała się w jego kierunku długa seria z niemie-



ckiego automatu. Chciał jeszcze osłonić swoje poduszki, ale przesyty na wylot nie zdążył, osuwając się na bruk. Wokół unosił się leciutki, gęsty, śnieżnobiały puch.

DRUCIANA

Tego dnia, gdy za wysokim murem kręciła się karuzela, a goje zajadali się watą z cukru, Samuelowi Feldgrasowi, stojącemu pod rozłożystym klonem, przypomniał się dziwny sen.

Śniło mu się, że morze wyrzuciło na brzeg wyspy trzydzieści pięć wielorybów. Próbowano polewać je wodą i kierować do morza, ale wieloryby nie okazywały chęci powrotu. Przeciwnie, napływało ich coraz więcej i osiadały na lądzie, skazując się na niechybną śmierć.

– Co to jest?... Co to znaczy?... – zrzędził do siebie zatroskany mężczyzna, licząc na swoim podwórzu dziecięce, zużyte wózki.

W przeważającej większości były to prymitywne druciaki, z powyginanymi kółkami i wybitym oparciem. Nadawały się tylko do rozbiórki na części. Co tydzień przyjeżdżała po nie zdezelowana ciężarówka i wywoziła poza getto.

Te znaczniejsze, z ceratowymi budami oraz wyściełane pluszem, stały przy dużym kafłowym piecu, czekając na reparację. Ile dni miały tak parcieć? Tydzień? Miesiąc? A może rok?... Noce stawały się już zimne, więc przesiąkały rosą każdego ranka.

Często zaglądały do Feldgrasa chudziny w długich, pocerowanych płaszczach, objuczone garnkami, krzesłami albo metalowymi drabinami.

Zdarzali się również i tacy z książkami, zupełnie potargani i roztargnieni. Pili z tekturowych szklanek cienką herbatę i rozmawiali nienaturalnie głośno, jakby chcieli zabawić gospodarza.

Byli niestrudżonymi rzecznikami boskich liter.

– Język ma boskie źródło – prawil jeden.

– Ze świętych liter bierze się początek i życie człowieka, bo każda rzecz, która jest, bierze swoje istnienie wyłącznie z liter... – dodawał drugi.

– Jako to wiemy od Baal Szem Towa, co powtarzał we dnie i w nocy jeden psalmowy, cudowny werset „Na wieki, Panie, słowo Twoje trwa w niebie”, co znaczy, że nawet teraz całe życie stworzenia jest Bożym słowem – oznajmiał inny, podnosząc zropiały, wskazujący palec do góry.

Echo ich głosów długo odbijało nieme podwórze. Dostawali od Feldgrasa po czerstwej kromce i szli dalej. A za nimi cień podartych chałatów. Pozostawała po nich jedynie naelektryzowana próżnia, w której czas rozsypywał się niby stos kartek ze starannie wykonanymi zdaniem.

– Ach, wy pejsaci... – pomrukiwał, kręcąc głową, sterany życiem rzemieślnik, pochylony nad grubą wiązką drutów, wystających z szopy. Potem przeliczał je i ważył, skrupulatnie zapisując w poplamionym kajecie ważne cyferki.

Zajęty rachunkami nie zauważył, jak na progu jego domu przysiadła samotna, młoda kobieta z białą chustką na głowie i szarym workiem na ramieniu.

Karmiła dziecko jeszcze wczoraj zwiotczalą piersią, w odrapanej poczekalni, czekając w kolejce po skąpą rację żywności, karmiła uparcie, przechodząc obok innych matek beczynnie stojących i daremnie rozglądających się na boki.

– Jestem waszą sąsiadką, nazywam się Cirla Bauman, pożycz mi pan któryś z tych dziecięcych wózków? – napomknęła wreszcie rozczochrana kobieta.

Feldgras spojrział na nią badawczo, lecz nie potrafił z nikim ją sobie skojarzyć. „Pomyłona” – pomyślał.

– Na dzień... lub dwa – westchnęła nieznajoma, wybałuszając posępne oczy.

– Tu nie lombard i to kosztuje – obcesowo oznajmił Feldgras, strzepując pył z rękawa.

– Chciałabym w nim powozić, chociaż trochę, mojego nieżyjącego Aronka...

Wtem podwórze jakby zastygło w jarzeniowym świetle. A z nieba zaczęły spadać niezliczone ilości jaskółek, które miały swoje gniazda pod drewnianymi okapami całej uliczki.

– A, bierz ten... – warknął Feldgras, podsuwając kobiecie zupełnie ogołocony wózek, wózek z samego drutu.

CICHA

Nikt tutaj nie odważył się hałasować. Mówiono wyłącznie szeptem, a okna były pozaklejane gazetami. Nie chodzono, raczej skradano się od bramy do bramy. Chytkiem, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi. Najczęściej po resztki jedzenia, wygrzebywane pod ceglastym murem. Tały się te wygłodniałe chudziny, wylężnione spojrzeniem wdowich okien, czarnych, śledzących ich ukradkiem.

U Goldwaserów z pięciu osób w mrocznej izbie (a teraz z czterech, bo siedemnastoletni Moses przepadł gdzieś jak kamfora) jedna zawsze stała przy oknie. Czatowała, czy też nie dzieje się co groźnego. W małym kółeczku wydartym z papieru, widać było na uliczce tylko błąkające się głosy bez plecaków.

Zarośnięty, przedwcześnie postarzały, rudowłosy Dawid Goldwaser, był medykiem; dawniej prowadził w mieszkaniu praktykę lekarską, lecz skończył z tym ze względu na bezpieczeństwo własne, a przede wszystkim rodziny. Więc zdjął z drzwi połączoną wizytówkę: „Medyk od chorób zakaźnych. Dawid Goldwaser”, żeby nie drażnić sąsiadów. Zaś wszelkie lekarskie imponderabilia sukcesywnie sprzedawał z bólem serca: szczypce, słuchawki, gumowe węże, szklane naczynia, menzurki, kuwety, bańki, stojące na półkach ciemne buteleczki z lepкими naparami i inne lecznicze mikstury.

Najbardziej było mu żal laboratoryjnej wagi do ważenia z dużą dokładnością niewielkich ilości substancji (do 200 g). Otrzymał ją w spadku po ojcu, Icchaku Goldwaserze, który sam popadał w coraz cięższą chorobę, lecz nie poddawał się, pragnął odkryć jej sens. Wtedy też ens morbi, uzyskało dla niego status zatrucia życia duchowego, którego lekarzem mógł być tylko Bóg albo wybrańcy przez niego powołani.

– Choroba, synu, to proces naturalny i duchowy – powtarzał, mieszając w buteleczce dymiący roztwór. – Nasienie konieczne w życiu, czynnik je konstytuujący, a nie godne odrzucenia corpus alienum.

Ponadto chorobową dolegliwość spowinowacił z działającym w naturze swoistym arkanum: szeregiem tajemniczych odpowiedniości roślinnych i mineralnych, mających właściwości lecznicze dla określonej przypadłości.

– Cały świat jest apteką, a Bóg najwyższym Aptekarzem – głosił ten doświadczony medyk z przekonaniem, ssąc kostkę cukru.

W grobowej ciszy nagle coś huknęło... To rozwścieczeni żandarmi z kamienicy naprzeciwko, wyrzucili z balkonu ogromną szafę, która, uderzając w bruk, rozleciała się na kawałki.

Dawid Goldwaser mimowiednie przyłgnął do zimnej, chropowatej ściany. Poczuł w sobie Urnagst – pierwotny lęk, zagubienie i bezsilność nie tylko wobec miejsca, w jakim się znajdował, ale również wobec sił natury i niepojętego procesu własnego zanikania. Przyłgnął do obojętnej, ceglastej powierzchni, a nie do Boga, jak uczy mistyczna doktryna dewekut.

RYBIA

Była taką uliczką tylko z nazwy, ponieważ ryb nie widziano tutaj od bardzo dawna. Gdzieś tylko pozostała woń morskiej soli na wietrzących się szmatach.

Jakub Cwajfus przedzierał się przez gęste zarośla, wyrosłe z popękanych chodników, z wiązką chrustu pod pachą – jego zatłuszczony chałat i spodnie zamieniły się w jeden strzęp. Dobrze pamiętał rozsypane po stołach ryby; klócił się wtedy ze sprzedawcami o cenę, gdy ci cierpliwie żuli tytoń, zeszkrobując twarde łuski.

Obecnie mijali go oberwańcy w brudnych, podartych łachach, w butach z odstającymi podszwami. Ich miny były wyjątkowo spokojne, tępe, nieobecne. Truchła, koszarne widziadła, zasłaniające słońce chmurą emocjonalnego popiołu.

Skreślił w mroczny, wąski zaułek; wyteżył słuch, aby upewnić się, czy wokół nie słychać jakichś podejrzanych dźwięków. Przekonawszy się, że wszystko jest w porządku, ruszył stromym zboczem do małego sklepu drewna. W nim na kupie chrustu nieruchomo siedział Chaim Szmot, przewiązany grubym, suplastym sznurem. Na rozprutych szwach jego rękawa tańczyły plamki światłocienia.

– Wyłaż ze mnie. I walczy. Nie chcę mieć cię w sobie. Wychodź, tchórze, wychodź, niech ci się przyjrę – mamrotał z przekonaniem, to rozszerzając, to zwężając źrenice. – Ale ty drzysz, śmiejesz się, boisz się i miotasz we mnie, kiedy znajduję się w pustce. W pustce drogi, zwijasz się w kłębek i siejesz we mnie trujące mleczce...

Z jego długiego czarnego płaszcza, co chwilę wysnuwały się białe, rytualne nitki.

– Tyle mam... – powiedział Cwajfus, przerywając natchniony monolog starca. – Nawet nie można zdobyć końskiej kupy na rozpałkę – dodał.

Pogrążony w wewnętrznej walce mężczyzna wyszedł z transu. Karcąco spojrzął na intruza.

– Najważniejsze to przetrzymać zimę. Już teraz trzeba robić zapasy – stwierdził autorytarnie, macając zeschnięte, kruche gałązki. – Nu, kiepsko... Lichota! – westchnął i pokręcił głową.

Potem wyjął jeden patyk, włożył między zęby i przegryzł na pół.

– Lipa, a nie opał, sama lipa! – stwierdził i beznadnie wruszył ramionami. – To nawet nie jest rosochaty ino stary, ślepy jeler, a jego jakby rogi nie sięgają o... nawet największego palca.

– Przynajmniej trochę, dla Estery – poprosił skonfundowany Cwajfus i zagryzł dolną wargę.

– Nu, to żaden interes – jęknął starzec i powoli wstał.

Wziął skromną wiązkę i rzucił na stertę chrustu. Powłócząc nogami, podszedł do nieheblowanych desek w głębi magazynu, odstaawił je i otworzył niskie, metalowe drzwi. Zapachniało pleśnią, wilgocią i ziemią.

Następnie do małego, brezentowego worka, który zdjął z bocznej ściany, nasypał trzy garście obierzyn. Długo się zastanawiał, zanim dorzucił jeszcze dwa zupełnie zmarszczone kartofle, z wijącymi się twardymi, bladymi kłączkami. Głośno westchnął zrezygnowany.

– Nie Rybia, ale ulica Obierkowa, Obierkowa... – zaintonował w drodze powrotnej Cwajfus zadowolony z tego, że będzie mógł zrobić żonie supę.

KRAWIECKA

Nie nadążano już z uprzątnięciem mumii. Zeschnięte, pokurczone zwłoki leżały na chodniku lub pod bramami, odarte z ostatnich szmat. Mojsze Knefelblum naszywał potem te skrawki wytartego, szorstkiego materiału na przynieszone mu do reparacji ubrania. Robił to do późnej nocy przy cuchnącym łojem ogarku. Przygnębiało go uczucie nieuleczalnego poniżenia.

Niegdyś jego krawiecki zakład służył z najwykwintniejszej galanterii: rękawiczki, torebki, wstążki, koronki, połączone szwy i lansowane w chałatach srebrne niteczki. A teraz co, lata do łaty i na to jeszcze następna łata. Na zapleczu zaś, na szerokich półkach lśniły bele bawełny, dlatego odwiedzały go same eleganckie damy i panowie, niuchając, co w modzie piszczy.

– Pan nie stworzył człowieka gołego, lecz wytwornie odzianego – mawiał Knefelblum do swoich klientów, którym na widok jego towarów wyskakiwały rumieńce na policzkach. Lecz teraz strach było wyjrzeć na uliczkę, gdzie pałętały się jedynie zawszone widma, blade jak wosk. Toteż dawny mistrz krawiecki upadał na duchu, w poczuciu pełnej beznadziei, z boleśnie pulsującą żyłką na czole.

W dodatku z zewsząd wciąż dochodziły pokrętne komunikaty, jak zajęcze tropy, i okrutne, natrętne pogłoski o zupełnej likwidacji nawet tego, co jeszcze pozostało. W najwyższej cenie

były zaś: chleb sitkowy, tytoń, spirytus i zapałki, a nie udrapowane tkaniny.

Pewnego słonecznego dnia w zakopconą szybką krawieckiego zakładu zapukał sędziwy mężczyzna, a potem wszedł do środka, w słodkawą zaduch gałganów.

– Witam! Tyś jest Mojsze Kniefelblum, co szył ubranie dla mojego Natanka, kiedy po raz pierwszy szedł do chederu? – zapytał nieznajomy z poświstem niewydolnych płuc. – Ja, Abram Oksenberg, mam do ciebie ważną sprawę...

Krawiec zdjął drucziane okulary, wbił grubą igłę w ceratę na stole i spojrzał na obcego, który miał spuchniętą, fioletową twarz.

– Tylu ich było... kto zapamięta – powiedział i przygryzł wargi w smutnym milczeniu.

– Przyniosłem chałatowe płótno, zrobisz z niego płaszcz dla mojego syna – wysapał Oksenberg i przysiadł na zydlu obok drzwi, wycierając zmiętą chustką pot z czoła.

I wtedy nagle wiatr zdmuchnął z podwórza całą aureolę dmuchawców nad jego głowę.

– Od pokoleń Kniefelblumowie zajmują się szyciem odzieży na miarę – oznajmił krawiec.

– A gdzie miara? – zapytał, strzepując z siebie nitki włóchatymi dłońmi.

– O tam...

Po chwili wyszli razem za wysłizgany przez lata stopami klientów, gładki próg. Przy szczyrbatych schodkach stała dwukołowa, drewniana platforma: na niej leżał zgięty szkielet, co stopił się z jasnym światłem wielkich okien.

KANCELARYJNA

Na peryferiach splądrowane kamienice dogorywały brakiem mieszkańców. Tłum ludzi, którym nie udało się dostać na plac arbeitsamtu, czekał u wylotu ulicy na parowóz z towarowymi, klekocącymi pustką wagonami.

Lejzor Wajzman, dawniej zajmujący się sprzedażą kapeluszy pilśniowych, zrobił prawie cyrkowego szusa z wychodka do ciemnej sieni i zwichnął sobie nogę. Kulejąc, dotarł po skrzypiących schodkach na pierwsze piętro, do mieszkania biuralisty, Berka Sztajna, którego wywieziono do Treblinki przed rokiem.

W środku cuchnęło obierkami, myszami i gnijącym papierem. Stosy gazet, dokumentów, szarych teczek przewiązanych sznurkiem, piętrzyły się od podłogi po sufit, tworząc osobne, olbrzymie terytoria zapuszczonej kancelarii. Ze środka szpałt od czasu do czasu wylatywał siwy dymek – zapach rozkładającej się celulozy. Ściany i sufit wybrzuszyły się pod naporem zakisłego powietrza. A na zawilgoconych kartonach porobiły się bąble pleśni.

Wajzman pochwycił drąg stojący przy futrynie i zaciągnął okno kotarą. Pomroczało. Kuszykając, zakradł się do drugiej izby, z widokiem na ślepe podwórze. Znajdowała się w niej pryzca, szafka, puciołowata szafa, komódka, a na stoliczku zmatowiałe, pęknięte lustro. I znowu poupychane po półkolistych wnękach poźółkłe papierzyska. Wszędzie walały się to wkleśłe, to rozdęte pudła. Na zrudziałych deskach podłogi gnily rozdzielone pantofle z pomponikami.

Uwagę sprzedawcy przykuło wiadro, wypełnione nie wodą, lecz rozmiękłymi rękopisami.

Wyjął je, wygładził, usiadł na taborecie i zaczął przeglądać. Zawierały one imiona i nazwiska członków rady gminy wyznaniowej żydowskiej, przekreślone czarnym tuszem. Po chwili czytał na głos:

- Symcha Goldsztajn, bezpartyjny, prorządowy przewodniczący
- Chil Wajnberg, syjonista, zastępca przewodniczącego
- Jankiel Ajzenman, kupiec, ortodoks
- Abram Bajnerman, felczer, ortodoks
- Abram Cwajjgman, szewc, bezpartyjny
- Chaim Flichtentraj, krawiec, sympatyk ortodoksów
- Moszek Lederman, robotnik, mizrachista



- Szoel Rozenfeld, kupiec, syjonista
- Berek Sztajn, biuralista, mirrachista

Wajzman ciężko westchnął i przymknął powieki. Przypomniały mu się kupki odciętych pejsów, leżące na rozkopanym placu, pomiędzy zetłętymi tobołkami. Błyszcząły w słońcu tłustawą czernią. Co chwilę wiatr porywał je wysoko, pod samo niebieskie sklepienie, które stało się podobne do starego tafesu, z powiewającymi nitkami cyces.

TOPOGRAFÓW

O tę uliczkę toczyła się sąsiedzka walka. Krzyki, wyzwiska niosły się po wnętrzach rabowanych domów. Zdarzało się, że jeszcze trumna, sklecona z cienkich desek, nie została wyniesiona z izby, a już na progu szarpali się i tarmosili ci, co chcieli zająć to miejsce. Każdy wymachiwał rękami, wyważał drzwi i przez zagrzybioną, cuchnącą sień wpychał się do środka.

Na klockach w piwnicy siedzieli bladzi chasydzi. Ich podarte chałaty pęczniały murszeniem, wszędobylską wilgocią. Z ich czoł zwisały grube frędzle sadzy. Ogarek pomrugiwał w kruchych szybkach okrytych mgiełką, jaka przedostawała się tutaj w porze deszczu. Była to wilgoć zatęchła, mocno grzęznąca w ubraniach, zasychająca szramą na wychudłych policzkach.

W kącie kiwał się Chaskiel Elimelech, puszczający z nozdrzy pisknięćcia, wydostające się zapadłej piersi śpiewne głoski – od tych dźwięków trzeszczały cegły, koliste żebra półek, z cudem uratowanymi świętymi foliałami.

– Jestem stroicielem liter. Lampiony w mojej głowie huśta wiatr. Trzaska światło. Więc kołysz mnie skóra powiek, gdy idę ścieżką krawców Pisma, że konieczność to wiara każdej rzeczy.

A światu podpowiadam, że jest zupełną przypadkowością, podwójnym haftem wyszywanym w sobie i obok siebie wbrew własnej woli. Dopóki nie spotkam Jego, zza płachty zapadającego zmierzchu, duszącego pyszną krtań w pisk zamszowego dźwięku... – cicho intonował starzec w pusty przedsiónek, zużywających się samogłosek i spółgłosek.

Na górze w wyziębionej izbie, gdzie czuć było mokrym tynkiem, piec ociekał stearyną, na żeliwnych okuciach robiły się grube narośla sadzy, a komin zatykała breja popiołu, siedział Mendel Fisz, gapiący się w niski belkowany strop.

– Nie wiem... Nie wiem, jak pani pomóc. To wszystko dzieje się szybko, za szybko... – powiedział zrezygnowany topograf, stukający ołówkiem w rozłożoną na blacie stołu mapę. Czarnowłosa kobieta, w grubym, męskim, granatowym płaszczu z trudem powstrzymywała spazmatyczne jęki. Przeszępowała z nogi na nogę lub niecierpliwie pocierała dłonie w rękawiczkach z cienkiej, żółtej skóry.

– Pamiętam, że moja córeczka, Ryfka, była bardzo chora, dostała jakąś brodawkę i zakażenie krwi... Poleciałam z nią do szpitala, ale po drodze posypały się salwy karabinowe, strzelano gdzieś tu, niedaleko domu. Szybko zbiegłyśmy do piwnicy, w której sufit nie był zrobiony z betonu, lecz z ziemi. Leżałyśmy tam ze strasznie, strasznie obszarpanymi staruszkami.

I pamiętam ten zapach kartofli... I nagle pojawiły się dwie siostry, takie zakonne z dużym wiklinowym koszem, tłumaczyły mi, że jest wielkie niebezpieczeństwo, więc zabiorą Ryfkę do klasztoru... Na początku nie mogła usiedzieć w tym koszu, bo słoma przeszkadzała jej oddychać, ale obiecałam, że kupię jej większą lalkę, więc trzymając paluszkami zatkany nos, uspokoiła się. Moje pięcioletnie dziecko... – tutaj kobieta przerwała, po chwili jej płacz zamienił się w cichy szloch.

– A zatem musi być w klasztorze – zawyrokował Fisz i dostał nerwowego tiku pod lewym okiem.

Łkająca kobieta przytaknęła głową.

– Wie pani jakiego?...

– Nie, nie zapytałam w tej całej panice...

Fisz zerknął na celofanowe okienko pod sufitem, które było mocno zaparowane: w środku znowu brakowało powietrza. Potem pochylił się nad mapą, przeszukując czubkiem ołówka topograficzną okolicę.

– W pobliżu znajdują się dwa żeńskie zakony zajmujące się ratowaniem dzieci żydowskich. Tu. I tu...

Następnie wyjął z kieszeni mały kawałek kartonu i coś na nim zapisał.

– Proszę, ma pani adresy... u nich trzeba się dopytywać – polecił, mierzwiąc palcami rudozłotą brodę.

– Ojoj... Ojoj! Dziękuję... Ogromnie, ogromnie – zakwiliła z radości kobieta, chcąc przytulić swój mokry, zalany łzami policzek do pomarszczonej twarzy topografa. Ten grzecznie powstrzymał ją gestem ręki, a gdy uradowana matka wybiegła na podwórze, wszedł po wąskiej drabinie pod sufit i otworzył kłapę lufcika.

KAMIENNA

Tego dżdżystego dnia wśród pozostałych mieszkańców getta powstała niebywała panika. Do wielu uliczek wkroczył oddział Litwinów z opaskami: J.V.B. Juden vernichtungs batalion na rękawach.

W jednym z przykamienicznych baraków, przerobionym na prowizoryczną pralnię, żeliwne pokrywki podskakiwały, wypuszczając kłęby pary. W przysadzistych garnkach, roztytych od gorącej czerwonej blachy, pęczniała bielizna. Z drewnianego sufitu ciurkiem kapąła skroplona woda. W misach stygły powykręcane koszule. Obok nich, na zydelku, siedziała podstarzała bielizniarka, Sara Debora Rajzla, i wielką chochlą mieszała szare mydło w glinianym garncu. Ostrożnie, bardzo powoli, podszedł do niej mały, kosmaty Jakubek, z woreczkiem kolorowych guzików na ramieniu.

– Jestem zmęczony, głodny i śpiący... Daj kromkę – poprosił lekko sepleniąc. – A ja dam ci to

– i wyjął z mieszka kilka dziurawych krążków.

Skóra płatkami złaziła z jego wyziębionych rąk.

– Po co mi knefle, gdy gołych ludzi kijami tłuką? – odfuknęła Rajzla, pocierając szmatką zbrudzone czoło.

– Wliź tam w kącie do skrzyni, może cię nie znajdą – dodała, namydlając na szerokiej, blaszanej tarce bieliznę.

Kątem oka widziała w oknach ruszające się cienie. Bezpańskie psy gryzły się o wykopane kości. Staruszka pomyślała o mężu i o tym, że on na szczęście nie musi już na nic patrzeć, ponieważ smagłego Ezro Rajzie udało się pochować na kirkucie – teraz zdewastowanym i rozkradzionym przez szabrowników z wyrzeźbionych inskrypcjami macew, służących obecnie do utwardzania placów i dróg.

– Niech dusza jego związana będzie w węzełku życia – westchnęła bielizniarka, cupnąwszy zmęczoną myślą między stertą pamięci a usypiskiem szarych kamieni...

II NAGRODA

KATARZYNA WIECZOREK

(godło: Opalit), Kraków

WIADOMOŚĆ

Mogłaby tak resztę życia przesiedzieć, patrząc w ogień. Mimo codziennej pracy w polu, świąt kościelnych, ślubów i pogrzebów. Siedzieć przy piecu i grzać dłonie, coraz bardziej pokrzywione. Ręce się zmieniły, a piec nic, nawet drzwiczki te same, sprzed siedemdziesięciu lat, jak dom budowali.

Takie grabie się robią na stare lata, takie grabie... – Janka od czasu do czasu zerkała na odsunięte od oczu ręce, jak cudze. Miała po czterdziestce, nie była jeszcze stara, ale tak się czuła. Dokuczały jej stawy, bolały plecy od tego zimna, od roboty. Ciągłe było jej za mało ciepła. Od Dunajca ciągnął chłód, na szczytach gór leżał śnieg. Wieś wydana na pastwę lodowatych wiatrów marzła w kotlinie. Drewniany dom trzymał się jeszcze dobrze, choć dach już trochę przegnił, a i ostatni majowy grad zrobił swoje. Nadal sufit strzępił się poszyciem, lecz odparzenia tynku w świetle zakurzonej żarówki nie były już tak widoczne. Pod łuszczącymi się ścianami nadal piętrzyły się zaspas gazet i kartonów, unosił się zapach pleśni, do którego dawno przywykła.

Odkąd umarł jej ojciec i brat, mieszkała sama. I, gdy już nakarmiła kury, wydoiła krowę i byle co zjadła, siadywała przy piecu. Siadywała tak blisko, aż żar sprawiał jej niemal ból. Wtedy dopiero czuła, że ciepło przenika jej kości i dociera do serca. Chociaż ogień przypominał jej wszystko, o czym chciałaby zapomnieć. Byle do jutra. Rano pójdzie na mszę, porozmawiać z Bogiem, mimo że ta rozmowa to dwa monologi. Każdy swoje wie.

W takie zimne i ciemne dni, jeszcze gdy żył tata, musiała siedzieć w domu i czyścić naftowe lampy, myć po wieczery, podpalać w piecu i zamiatać izbę. Te obowiązki spadały na nią, bo była dziewczyną. Starszy brat nosił co najwyżej wodę, rąbał drewno i chodził z ojcem do lasu, za chłopskimi sprawami. Z tego jej buntowania nie było nic, tylko siniaki na tyłku. „Ady kurom trza dać jeść, to babska sprawa i oporządzić dom tyż”, burczał ojciec i zostawiali ją samą w czterech ścianach, nawet jak była wojna, choć Janka bardzo się bała. Tęskniła do mamy i aby jej było różnie, gadała z nią w samotności, choć z każdym rokiem zapominała ją coraz bardziej.

Kiedy we wojnę, pół roku po wysiedleniu ich z rodzinnego domu, tatę zabili, Bronek z Janką na dobre zamieszkali z rodziną stryja. Wtedy Janka razem z ciotką opiekowała się dziećmi i pomagała w gospodarstwie. Mimo ciasnoty, wiecznych kłótni o jedzenie i wszystko inne, w domu stryjka nie zasnęła samotności ani bolącej przenikliwej ciszy.

W jeden z podobnych dni, lodowatych i wietrznych, poszła do stodoły po drewno i resztkę słomy na podpałkę. W prześwitach między belkami zobaczyła Achima. Musiał usłyszeć, jak wychodziła z domu, stukając chodakami o zmarzniętą ziemię, jak skrzypiała drewnianymi wrotami stodoły. Zaskoczona postawiła kosz na ziemi i rozartała zmarznięte palce. Wyjrzała zza skrzydła wrót. Achim kiwnął w jej stronę i rozejrzał się nerwowo. Lubiła go, choć był Niemcem, ale mówił, że on „Hanyś z Gliwicz”. Wesoly był i zupełnie inny niż jej, świętej pamięci, tata.

Achim kilka razy z innymi Niemcami przyszedł sprawdzać kontyngent. Zawsze się uśmiechał i dokazywał. Mówił, że „mo tako samo cerka i synka”. Kiedy wydawało mu się, że nikt nie widzi,

wcisnął jej w garść bryłkę sklejonych landrynek. Drugi Niemiec zauważył to i typał z wrogą miną, bo nic nie rozumiał po polsku. Nie był pewien, o czym gadają, więc Achim mu przetłumaczył. (Cukierki i tak musiała potem rozdzielić między wszystkie dzieci, został jej tylko jeden). A jak jeszcze żył tata, wracała od ciotki Rózi z Kostek i Achim jej pomógł. Szła z jabłkami w koszyku, przykrytymi świeżym płótnem złożonym w kwadrat. Drogą jechali Niemcy. Obrócili ku niej twarz z za szyb swojego łożnika, zanim zatrzymali się tuż przed nią, opryskawszy całą błotem.

W pierwszej chwili nie rozumiała, o co im chodzi. Bała się, gdy wyskoczyli z auta na drogę i zaczęli szarpać ją i jej koszyk. Zrozumiała tylko „partizanen, partizanen”. Zdarli jej z głowy wełnianą chustkę, wysypali w błoto zawartość kobiałki i kazali się rozebrać. Achim był z nimi i tłumaczył: „seiblyknij te hacke”, bo chcą zobaczyć, czy nie ma listów od partyzantów.

Janka dygotała. W zimowej ciszy skrzypiały siedzenia ze skóry, chlupotał rozmiękły śnieg, połykiwały sprzączki i kolby karabinów, a obca mowa raniła jak kawałki szkła. Słyszała niecierpliwe „sznela, sznela”. Było ich trzech, ale tylko Achima rozumiała. Pomagał jej – przytrzymywał chustę i wełnianą spódnicę, gdy trzęsa się w przykrótkiej koszulinie, chuderlawa, szorstka jak oskubany kurczak. Łokciami ścisnęła kościste żebra, gdy pozostali dwaj żołnierze zaglądali do wnętrza za dużych trzewików. Jeszcze kazali jej rozpleść włosy (tam też mogły być ukryte listy od partyzantów). W błoto upadło czyste płótno od ciotki Rózi. Wyglądało jak sukienka anioła stróża, który zrzucił ją z siebie i uciekł.

Potem Achim pomógł jej się szybko ubrać. Związał jej spódnicę, zarzucił wełnianą chustkę na ramiona, zaplótł, jak umiał warkocze, choć tamci się niecierpliwili i poganiali go szyderstwami. Pomógł jej pozbierać zawartość koszyka: ubłocone i obite jabłka; poskładać poplamione mokre płótno. Na koniec obrócił ją lekko i dotknął ramion, aby już szła. Zapłakana i szczękająca zębami, trzęsa się tak strasznie, że nie umiała nawet zawiązać pod brodą drugiej chustki, gdy łożnik zniknął za zakrętem.

W domu nie zdążyła opowiedzieć, że Niemcy ją zatrzymali, bo zaraz dostała pasem. Było za co! „Bieluśkie płótno tak ta dziopa uwalila i jabłka obila!” – darł się ojciec, a ona nie wykrztusiła nic na swoją obronę.

III NAGRODA

AGNIESZKA SŁAWIŃSKA

(godło: As), Sochaczew

„PAPIEROŚNICA WYDOBYTA Z LUDZKICH SZCZĄTKÓW” (fragment)

Oświęcim, 2022 r.

Cecylia czuła, że koniec jest blisko. Przeżyła 102 lata, kto by się spodziewał? Nic nie zapowiadało, że czeka ją tak długa i kręta droga. Nigdy nie było łatwo. Trzęsącą się, pomarszczoną ręką dała znak opiekunce, żeby do niej podeszła. Malwina, bo tak miała na imię ukochana wnuczka staruszki, podała jej odruchowo ciepłą herbatę. Cecylia chętnie upiła kilka tyków napoju, który ciepłem rozszedł się po skostniałym ciele. Zbierając wszystkie siły, wolno wyszeptwała do wnuczki: – Malwinko, otwórz, proszę, mój zabytkowy kredens. W dolnej szufladzie jest niebieskie, małe pudełko. Przynies mi je, proszę. – Malwina trochę zaniepokojona życzeniem staruszki postanowiła spełnić jej prośbę: – Dobrze babciu, za chwilę podam ci pudełko. Ty jednak pamiętaj o tym, co mówił lekarz. Nie wolno ci się denerwować. – Zaintrygowana kobieta szybko wykonała nietypowe polecenie i przyniosła staruszce stare, wyłożone aksamitnym materiałem pudełko. Cecylia nabrała kolorów na twarzy i wyraźnie się ożywiła, co zaniepokoiło wnuczkę. Malwina zauważyła, że kiedy babcia oglądała swój skarb, wyglądała jakby ze dwadzieścia lat jej ubyla. Podała tajemnicze pudełko wnuczce i zażądała: – Otwórz je, Malwinko i zajrzyj do środka. – Malwina wiedziona ciekawością delikatnie uchyliła wieczko i jej oczom ukazała się jakaś srebrna, pięknie zdobiona rzecz. Zrobiła zdziwioną minę i zadała babci pytanie: – Babciu, po co ci taka droga, stara papierośnica, skoro nigdy nie paliłaś papierosów? – Cecylia poważnym głosem odpowiedziała wnuczce: – Nadszedł czas, kiedy muszę przyznać się do pewnych grzechów, które popełniłam. To właśnie tobie, Malwinko, powierzę moje tajemnice.

Oświęcim (Auschwitz), luty 1945 roku

Cecylia miała wówczas 25 lat i na utrzymaniu chorą matkę oraz małego synka. Mieszkali w Oświęcimiu w starej, obskurnej kamienicy, w małej izbie z wnęką, gdzie znajdowała skromna kuchnia. Problem w tym, że garnki cały czas stały puste, a matka Cecylii i jej dziecko potrzebowali jedzenia, żeby przeżyć. Młoda kobieta była zdesperowana, kiedy pewnego poranka nie znalazła nic w zapasach odłożonych na czarną godzinę. Mały Walduś zaczął konwulsyjnie płakać z głodu, a matka nie podnosiła się z łóżka. Wtedy Cecylia, z wrzeszczącym dzieckiem na rękę, podbiegła do swojej rodzicielki. Odwróciła z trudem matkę i zaniemówiła. Odłożyła zasikanego i zapłakanego chłopca do łóżeczka. Próbowała dobudzić matkę, ale ta już zdążyła zeszytywnieć w pośmiertnym uścisku. Cecylia trzymała ją za rękę, trzęsła się jak osika i wspominała ze łzami w oczach. To była jej wina, bo to Adela cały czas załatwiała pieniądze na utrzymanie – najmowała się do pracy w polu, przewoziła w bańkach po mleku mięso z nielegalnego uboju na sprzedaż do Krakowa. Potem udało jej się kupić maszynę do szycia. W ich skromnym lokum po nocach dorabiała na naprawianiu bielizny, łataniu palt czy szyciu czegoś na zamówienie. Nadal też jeździła z mięsem ukrytym w bańkach na targ w Krakowie i została złapana przez Niemców. Próbowała ich przekupić papierosami, ale okupanci aresztowali Adelę i okrutnie ją pobili na komendzie Gestapo. Śledztwo w sprawie nielegalnego uboju trwało

miesiąc, ale kobieta nikogo nie wydała. Po miesiącu wypuszczono ją na wolność. Cecylia nie poznała matki, zamiast kobiety w sile wieku zobaczyła staruszkę z siwymi włosami, zupełnie bezzębną, z fioletowymi pręgami i niezagojonymi ranami na całym ciele. Adela leżała cichutko, wpatrzona w jeden punkt i do nikogo się nie odzywała. Trzeba było ją obsłużyć, zadbać jak o małe dziecko. Od tamtych tragicznych wydarzeń Cecylia miała na utrzymaniu tak dwie osoby, schorowaną matkę i małego syna. Dogadała się z sąsiadką, która w dzień pilnowała swoje dzieci i Waldusia. Adela na całe dni zostawała sama i dopiero po całym dniu pracy w piekarni Cecylia zajmowała się dzieckiem i matką. No ale jakiś „dobry przyjaciel” doniósł tam, gdzie trzeba, nowej władzy i praca w piekarni stała się przeszłością. W lutym 1945 roku dziewczyna tyrała u gospodarzy na wioskach koło Oświęcimia, ale wystarczyło zaledwie na podstawowe potrzeby. Nie miała już sił, sąsiadka podniosła cenę za pilnowanie Waldusia, a przy Adeli było coraz więcej sprzątanania. Walduś zachorował, wszystko poszło na jego leczenie. Cecylia musiała zająć się tylko nim, więc przestała zarabiać. Tak było od dwóch tygodni, na szczęście dziecku się znacznie polepszyło. Teraz, ściskając szczupłą i sztywną rękę Adeli, czuła wyrzuty sumienia za śmierć matki. Podświadomie wiedziała, że nie mogła nic zrobić. Kompletnie bezradna, wstała z podłogi, odłożyła rękę matki i ciało przykryła narzutą. Wtedy zobaczyła okruszki po bułce. – A więc to Adela zabrała ich ostatnie jedzenie – pomyślała w duchu, zadowolona, że przed śmiercią jej matka miała przebłąski świadomości...

WYRÓŻNIENIE

MATEUSZ DUDEK

(godło: MJD), Gdańsk

DOM

Ludzi oceniał po butach. Gdy były przesadnie nabłyszczzone, wówczas skreślał osobnika niezależnie od płci, wieku czy wykształcenia. Właśnie to spotkało nowo zatrudnionego listonosza, który pewnego poranka przyniósł mu emeryturę – zjawił się w wypastowanych lakierkach. Podobnie rzecz miała się z panem prezydentem – nie przyjął od niego Krzyża Zasługi, bo wcześniej wielokrotnie widywał go w telewizji w skórzanych mokasynach. Czasem rozpoznanie godnego osobnika było trudne – choćby teraz, gdy stał przed młodą kobietą. Jej warkocz opadł na poplamiony mundur.

– Kennkarte! – wrzasnęła suchą niemczyzną z taką zajadłością, że aż pobladł.

Wytrzeszczył oczy i dotknął swojego ramienia.

– Może być trochę więcej tych pomidorków? Kilogram, dobrze? – spytała przyjaźnie, a jej mundur zamienił się w przybrudzony fartuch.

Skinął i odetchnął.

– Coś jeszcze?

Nachylił się, ale nie widział jej butów.

– Coś jeszcze dla pana? – powtórzyła zniecierpliwiona.

– Jeszcze te trzy, proszę... – Wskazał skrzynkę i udał, że do niej nie dosięga.

Dziewczyna uśmiechnęła się, wyszła zza lady i położyła na wadze ogórki. Zauważył, że miała znoszone tenisówki, wytarte niemal na wylot. To powinno go uspokoić, tym razem jednak tak się nie stało – może przez zbyt duży ruch w sklepie, a może przez wczorajsze wydarzenia...

Podąga mu siatkę i znowu krzyknęła:

– Kennkarte!

Spod oficerskiej czapki z trzupią czaszką błysnęły mordercze oczy. Zbladł. Zaczął nerwowo grzebać w kieszeniach. Jest! Boże, w końcu! Jest, mam. Tylko nie strzelaj! Błagam, nie strzelaj... Drżącymi dłońmi wyciągnął kartę.

– Zbliżeniowo? – spytała i szybko nabiła w terminalu kwotę. Coś piknęło, błysnęło. Kilogram pomidorów, trzy ogórki. Był wolny. Przeżył.

Przed sklepem stado mew zerwało się z dachu i przeleciało mu tuż nad głową. Samoloty.

Znów nalot! Co z rodzicami? Czy są bezpieczni, czy... żyją?

Tramwaj przejechał po swoim torowisku, samochód najechał na jakąś studzienkę. Skulił głowę.

Rozległ się klakson. Łapanka! Muszę do domu, do domu...

– Zejdziesz, dziadzie, z jezdni? Boże, co za ludzie! – Jakiś facet wychylił się z samochodu i pokręcił głową.

– Bardzo pana przepraszam – pokłonił się i przyspieszył.

Minął rozłożystą lipę, której korzenie wypiętrzyły chodnik, jakby drzewo nie mogło zdecydować, czy wygrzebać się i upaść, czy udawać i nadal spokojnie bujać się na wietrze.

Wszedł do domu, położył siatki na stole i wstawił wodę na herbatę. Wyrzwał przez okno. Mewy przycupnęły na okolicznych drzewach. Gdańsk był uprzejmie obcy. Deszcz padał tu inaczej, krople dziwnie spływały po dłoniach. Wiatr smakował sołą, a zima nie była zimą. I tak od sześćdziesięciu lat. Czy można gdzieś osiąść, a nie zapuścić korzeni? Czy można tkwić w ziemi,

kołysać się przy każdym podmuchu i się nie przewrócić? Czy można być samotnym drzewem wyrosłym na wydmie albo opuszczonym wiatrakiem, który ma ułamane skrzydło?

Usłyszał kroki za drzwiami. Wzdrygnął się, serce zabiło jak dawniej. Przyszli! Porwał z blatu pistolet, sprawdził magazynek i sprawnie przeładował. Znow dotknął ramienia. Z przerażeniem odkrył, że nie ma kapsułki cyjanku, która powinna być zaszyta w koszuli. A więc walka! Przesłuchiwanie przez te zwierzęta nie wytrzyma. Spojrzał raz jeszcze na broń. Dziewięć kul, dziesiąta dla niego. Ostrożnie podszedł do drzwi. Zamek zgrzytnął. Napiął mięśnie, spocona dłoń ścisnęła rękojeść. Dziewięć kul, dziesiąta dla niego. Niech żyje wolna Polska! Niech żyje... W drzwiach stanął gestapowiec o znajomej twarzy. Miał serdeczne oczy, długie ciemne włosy i czerwoną torebkę na ramieniu.

– Jak chcesz mi otworzyć, to bez tego, dobrze? – Wyrwała mu widelec z dłoni, pocałowała starca w czoło i bez wahania weszła do kuchni. – Cześć, mamó – powiedziała i czule dotknęła czarno-białej fotografii na kredensie. Zawsze tak robiła.

Przyjrzał jej się z uwagą. Miała lekko zakurzone buty! Uspokoił się.

– Mieliśmy iść razem, pamiętasz? – Z wyrzutem pokazała na siatki z warzywami.

Nie odpowiedział.

– Oj, tatku, tatku... No dobrze. Pójdziemy kiedy indziej. A jak ci panowie? – Znowu pocałowała go w czoło, a potem rozlała wrzątek do kubków. Zapachniało miętą.

– Jacy panowie?

Zlustrowała go czujnie.

– Ci z gazety. Przyszli wczoraj, tak? Byli? Mówiłeś przez telefon, że byli. Pamiętasz?

– A, tak. Byli.

– I pytali?

– Za dużo pytali.

Usiadła naprzeciwko. Wbiła wzrok w ceratę i delikatnie przejechała po niej dłonią, tak jakby znowu była córeczką, która niecierpliwie czeka na porcję gorącego mleka.

– Jeśli coś ma odejść, to najpierw pozwól temu przyjść, tatku.

Milczał ze spuszczoną głową, potem wyjrzał przez okno. Mewy podobne do porcelanowych figurek kołysały się wciąż nieruchomo na gałęziach.

Podążyła za jego wzrokiem.

– I proszę! Karmisz je całą zimą, to teraz masz. Nie spuszczają cię z oczu – zaśmiała się...

WYRÓŻNIENIE

ANDRZEJ LICZMONIK

(godło: Kangur), Wrocław

Dzień jak nie co dzień (fragment)

Każdy dzień zaczyna się od rozchylenia powiek. To dziwne uczucie. Jeszcze przed sekundą przeżywało się niesamowite przygody, było w miejscach i wśród ludzi, których, delikatnie mówiąc, wolałoby się nie oglądać albo może przeciwnie, chciałoby się oglądać jak najdłużej i jak najczęściej, a tu pyk: pokrywki zasłaniające oczy unoszą się w górę i widzi się szafę pod ścianą naprzeciw łóżka, kawałek podłogi i słabe światło ulicznej latarni z trudem przebijające się przez półprzeźroczyste rolety.

Rzut okiem na stojący na nocnej szafce zegarek. Jaskrawoniebieskie diody układają się w piątą czterdzieści pięć. Właściwie nie ma po co wstawać o takiej porze. Leżeć też nie ma co. Sen już nie wróci, skoro sam się skończył tak po prostu, bez interwencji budzika czy jakiegoś zaokienego hałasu. Od takiego leżenia na jawie tylko kości zaczną w końcu boleć. Lepiej sturlać się z łóżka, konieczność prawą nogą, żeby nie zepsuć sobie humoru na cały dzień. Obok Zośka cały czas smacznie pochrapuje. Nie będę jej budził. Zawsze kładzie się spać dużo później ode mnie. Czasem zastanawiam się, czy nie ma w tym jakiejś gry z jej strony. Wprawdzie zapytana o to wprost stanowczo zaprzeczyła, ale kto ją tam wie? Podobno nieprzenikniona jest dusza kobiety. Dawniej sama się dopraszała tego i owego. Ostatnio jakby trochę wystygła. Cóż zrobić? Lat nam nie ubywa.

Mózg, zupełnie o to nieproszony, robi pośpieszną analizę tego, co jest dziś do zrobienia. Po śniadaniu będzie trzeba wybrać się na zakupy. Jest piątek. Lodówka na weekend powinna zostać zapełniona. Nie ma nic smutniejszego niż pusta lodówka w niedzielne popołudnie. Co potem? Potem trzeba będzie usiąść przy laptopie i zapłacić wszystkie rachunki. Wczoraj pojawiła się na koncie świeża emerytura. Czas uregulować stałe płatności.

Ma się to szczęście, że jest za co płacić. Co by to było, gdyby nie miało się prądu, gazu, telefonu albo dostępu do sieci. Jak ludzie kiedyś żyli bez tego wszystkiego? Owszem, pamiętam doskonale czasy, kiedy nie było przynajmniej połowy tych atrybutów współczesnej cywilizacji i nie tylko się wtedy żyło, ale nawet całkiem sobie to życie chwaliło. Znam takich, którzy werbalnie tęsknią za tamtymi czasami, narzekają na dzisiejszą młodzież, że wzrok permanentnie utkwiony w smartfonach, że dogadać się z nimi trudno. Co z tego, jak sami co rusz chwalą się nowo pobranymi „apkami”, które ułatwiają im to czy tamto. Ja „apek” za wiele nie posiadam, ale bez tych, które mam, trudno mi się obejść, chociaż staram się nosa w aparacie nie zatapiać. W każdym razie dobrze jest mieć poczucie, że mimo sześcioletnich pełnych krzyżyków na karku i siódmego, który właśnie się na niego wdrapuje, nadażę się za postępem, nie jest się cyfrowo wykluczonym, a takie wykluczenie to dziś gorsza kara niż ostracyzm w starożytnej Grecji. Tam taki nieszczęśnik przynajmniej wiedział, co przeskrobał albo kto go w coś wrobił. Mógł poza tym z dużym prawdopodobieństwem powodzenia próbować urządzić się w innym mieście. Dzisiejsi wykluczeni są oderwani od razu od całego świata. Mogą nie ruszać się z miejsca, nikt ich nie wygoni ani nie będzie ścigał, bo są, a jakby w ogóle nie istnieli. Istnieje tylko ten, kto ma konto na fejsie, adres mailowy i smartfon w kieszeni. Takie to proste i takie oczywiste. Wszelkie dywagacje dawnych filozofów o istocie i istnieniu błędą wobec tej elementarnej prawdy naszych czasów. Tyle że za ten ponowoczesny atrybut istnienia trzeba regularnie, co

miesiąc płacić i właśnie dziś przypada mi w udziale ta wątpliwa przyjemność.

Jak już lodówka będzie pełna i rachunki popłacone, to w zasadzie zacznie się trwający aż do wieczora punkt programu pod tytułem „czas wolny”. Około drugiej po południu Zośka zawoła na obiad, nieco po szóstej na kolację, a poza tym można będzie robić, co tylko się zechce. Żadnych terminów, żadnych pilnych spraw, pełna swoboda. Właśnie ta pełna swoboda często mnie przeraża. To tak ładnie brzmi: „mogę robić, co chcę”, ale co właściwie chcę? Czy jest jakieś miejsce na aktywność dla człowieka takiego jak ja, który całe życie sumiennie wykonywał zadania zlecone przez rodziców, przez nauczycieli, przez kierowników w pracy, przez żonę, a głównym przedmiotem jego troski było nie narazić się na gniew z powodu zawiedzionych oczekiwań?

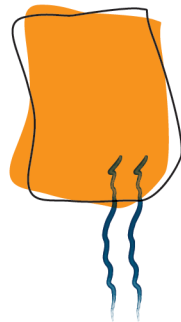
Pewnie będzie tak, jak we wszystkie poprzednie dni: pokręcę się trochę po domu, pospaceruję dokoła osiedla, coś poczytam, dopóki mnie nie znudzi, włączę telewizor i po kilku minutach wyłączę z obrzydzeniem. Chyba się za mocno postarzałem, ale tak się dziwnie składa, że nie mogę stawić tych obecnych programów w telewizji. Takie to jakieś bezmyślne, ogłupiające, zero treści, zero podstaw do zastanowienia. Dawniej to były audycje! Jak rozrywka, to można było pękać ze śmiechu, jak coś na serio, to wyciskało łzy z oczu, a w każdym przypadku dawało mnóstwo materiału do przemyśleń. Człowiek czuł się wewnętrznie bogatszy po wyłączeniu odbiornika. A teraz? Rzeczy o niczym, bezkształtna papka dla bezmózgowców. Niedobrze się robi przy oglądaniu czegoś takiego.

Zośka na pewno będzie chciała, żeby jej w czymś pomóc. Te jej prośby to z jednej strony istne utrapienie, bo zaskakują swoją nieoczywistością i zmuszają do zupełnie nierutynowych zachowań, z drugiej — jak nudne i jałowe byłoby życie, gdyby piękniejsza połówka mojej dwuczłonowej od przeszło czterdziestu lat osoby niczego ode mnie nie chciała. W sumie więc jestem jej wdzięczny za te oczekiwania niestandardowe i kłopotliwe na pierwszy rzut oka...

WYRÓŻNIENIE

ANNA PILISZEWSKA

(godło: Śryż), Wieliczka



„DRZENIE”

Jasność cedzi się z nieba – przyska na sad i parkan. Zapach suchego siana i omdlałych begonii nasila się. Od Luszowic dryfuje wełna burzowych chmurzysk – niesie ją letni wicher, skłębina ponad cegielnią i wnet wywiewa za granicę miasteczka, za lasek, poza horyzont.

– Tną, jakby się powściekały – Waleria patrzy na niebo, wzdycha, ociera czoło i macha pasiastą szmatką, ale uparte muchy ani myślą odpuścić. Jej sąsiadka Helenka wykrzywia usta i wzrusza ramionami. Wsparte o płot kobiety chłoną leniwy spokój sierpniowego południa. Czas ciągnie się niemilosiernie. Nad chlewikiem ospale kołuje łysawa wrona.

Rozświetloną Pogorską, przy której stoją tylko trzy domy, w kaskadzie drgających cieni wędruje Szoszana Klapholc w turkusowej sukience, dźwigając pokaźny koszyk nakryty Inianą serwetką. Helka łypie na nią spode łba.

– A tę gdzie znowu niesie? Lada dzień zaczniesz rodzić...

– Ani chybi do siostry.

– Że też się jej zebrało!

– A niby kiedy ma pójść, kiedy stare Klapholce skłócone są z rodziną Szehnbergów? Młody Klapcholc prowadzi sprzedaż kłódek, łańcuchów i innego żelastwa, więc gdy Aszer handluje, ona leci do siostry.

– Zakazał jej chodzić do własnej siostry? Coś podobnego!

– Nno, nie... Szoszana nie chce go dotknąć, więc robi to w tajemnicy. Ale Aszer wie o tym, lecz udaje, że nie wie.

– I po co te ceregiele?

– Żeby sobie w tajemnie nie uczynić przykrości. Aszer jest delikatny, ot co!

Helenka maca palcami niedojrzałe węgielki, dyndające na mocno przeciążonej gałęzi, wiszącej tuż nad jej głową.

– Niedawno się pogodzili i już skłóceni od nowa. Ech, żydki... To się kłóć, to godzą, to się kłóć, to godzą. I tak w koło Macieju! – prychna.

– Znow się zgodzą, zobaczysz...

Nieutwardzoną, pooraną szramami kolein uliczką wolno toczy się fura i podnosi się kurz. Na włosach i twarzach kobiet siadają drobiny pyłu.

– A żeby ci pękła ośka, gnidziarzu! Tfu!

Helenka jest rozdrażniona, a Walerka wie czemu. Tu chodzi o dziecko Heli, które już drugi miesiąc nosi ona pod sercem. Helenka ma szóstkę dzieci i powoli przekwita, a tu siódme znow w drodze. Cięży nie da się ukryć, niebawem brzuch się stanie widoczny.

– Nie powinnaś się sierdzić. To ci może zaszkodzić – mówi do niej Waleria i kiwa łagodnie głową.

– Niby tak... Ale nas cały Chrzanów weźmie znow na ozory! Starzy przecież jesteśmy.

– Plotkarze muszą plotkować, bo taka jest ich natura. Pogadają i minie. Znajdą wnet inny obiekt.

– Już sobie wyobrażam te mielące ozory. Poza tym czasy niepewne.

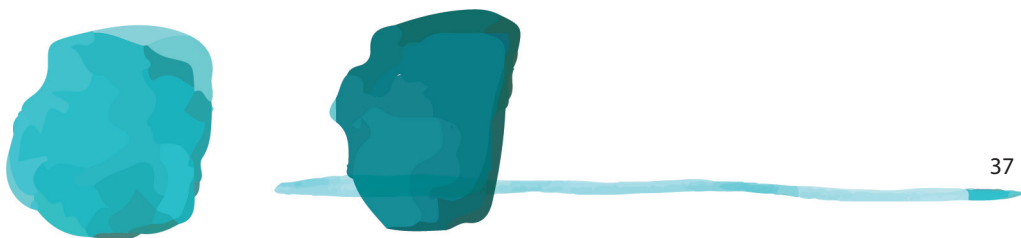
– I, tam... Zawsze są jakieś czasy. Od wiek wieków niepewne.

- Ludzie mówią o wojnie. Pójdę już, bo twój Józef zaraz wróci z cegielni.
- Cegielnia... – Walerka pilnie chce zmienić temat, gdyż czuje się przytłoczona. – A wiesz... Kiedyś ktoś ukradł silnik napędowego motoru i stanęła produkcja. Świat się niemal rozleciał. Nie mieliśmy pieniędzy. Też były niepewne czasy! Stanęliśmy na nogi, bo nam Pinkus dopomógł. Wspominałam ci o tym?
- Nie da się nie pamiętać. Dziesiąty raz mi to mówisz – Helka uśmiecha się mimowiednie. Udał się niewinny podstęp. Zadowolona Walerka prowadzi Helę za szopę, gdzie stoją rzędy sadzonek w popękanych doniczkach.
- To bukszpan. Prawda, że ładny? A mówi się, że nie pora latem robić sadzonki. Ale ja się uparłam. Nacięłam lisim ogonem szczeliny w korze gałązek, powciszałam w nie ziarenka pszenicy i jakoś w połowie czerwca każda szczepka puściła korzeń. Sporo ich mam, to chętnie dam ci kilka wczesną jesienią – oznajmia...

*

Lampa mruga, przygasa. Zerwał się wiatr – kołysze mocno drutami wysokiego napięcia. O tej porze tak zawsze. Chytkiem zbliża się jesień. Józef Trębacz grzebie w papierach i odruchowo się skrobie za uchem zaostrzonym ołówkiem. Trzeba będzie zamówić pas klinowy. No, tak. Cegielnia parowa jest mała, ale ostatnio pracuje na pełnych obrotach. Zapotrzebowanie na cegłę rośnie, bo rozwija się miasto. To dobrze, to bardzo dobrze. Roboty jest coraz więcej – też dobrze. Ale ten pas... Musi go wnet zamówić. Właściwie czemu nie teraz? Józef wstaje i z haka zdejmuje szary kapelusz, na plecy narzuca płaszcz. Wychodzi. Mija Rybną, Rymarską. Marszowym krokiem przecina plac. Naprzeciw niemu zmierza pogrążony w głębokiej zadumie Mendel Halbersztram, rabin. Nie dostrzega Trębacza. Opodal synagogi niemal zderza się z nim. Józef grzecznie go wita, po czym próbuje odejść. Ku jego zaskoczeniu, rabi chwyta w dwa palce krawędź jego rękawa.

– Pisz, że mam wyjechać. Że to najwyższa pora...



Spis treści

Magdalena Cybulska

***.....	9
Znikanie.....	10

Hanna Wasiak

Siedmiostrunna gitara.....	11
Skrzypce w ruinach.....	11
Krzyk.....	11
Dziecięcy pomnik.....	12

Janusz Koryl

W prostych żołnierskich słowach.....	13
Na pierwszej linii ognia.....	13
Zwycięstwo.....	14
Mój bóg.....	14

Piotr Zemanek

Ukraińska Golgota.....	16
------------------------	----

Anna Piliszewska

Droga przez Irpień.....	18
Bombardowanie zoo.....	18
Wychodzenie z szafy.....	19

Bogdan Nowicki

Cienie.....	21
-------------	----

Katarzyna Wieczorek

Wiadomość.....	28
----------------	----

Agnieszka Sławińska

„Papierośnica wydobyta z ludzkich szczątków” (fragment).....	30
--	----

Mateusz Dudek

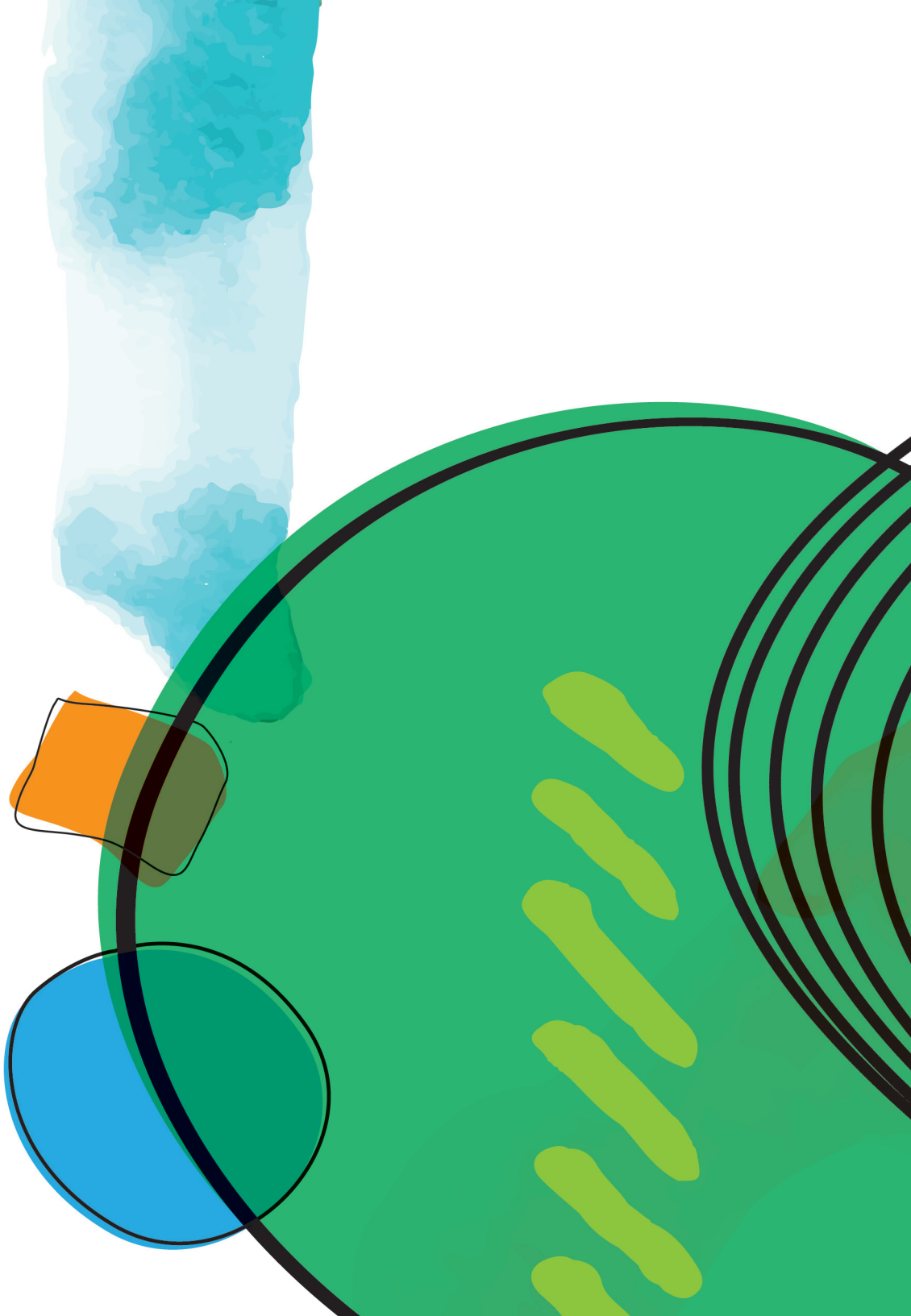
Dom.....	32
----------	----

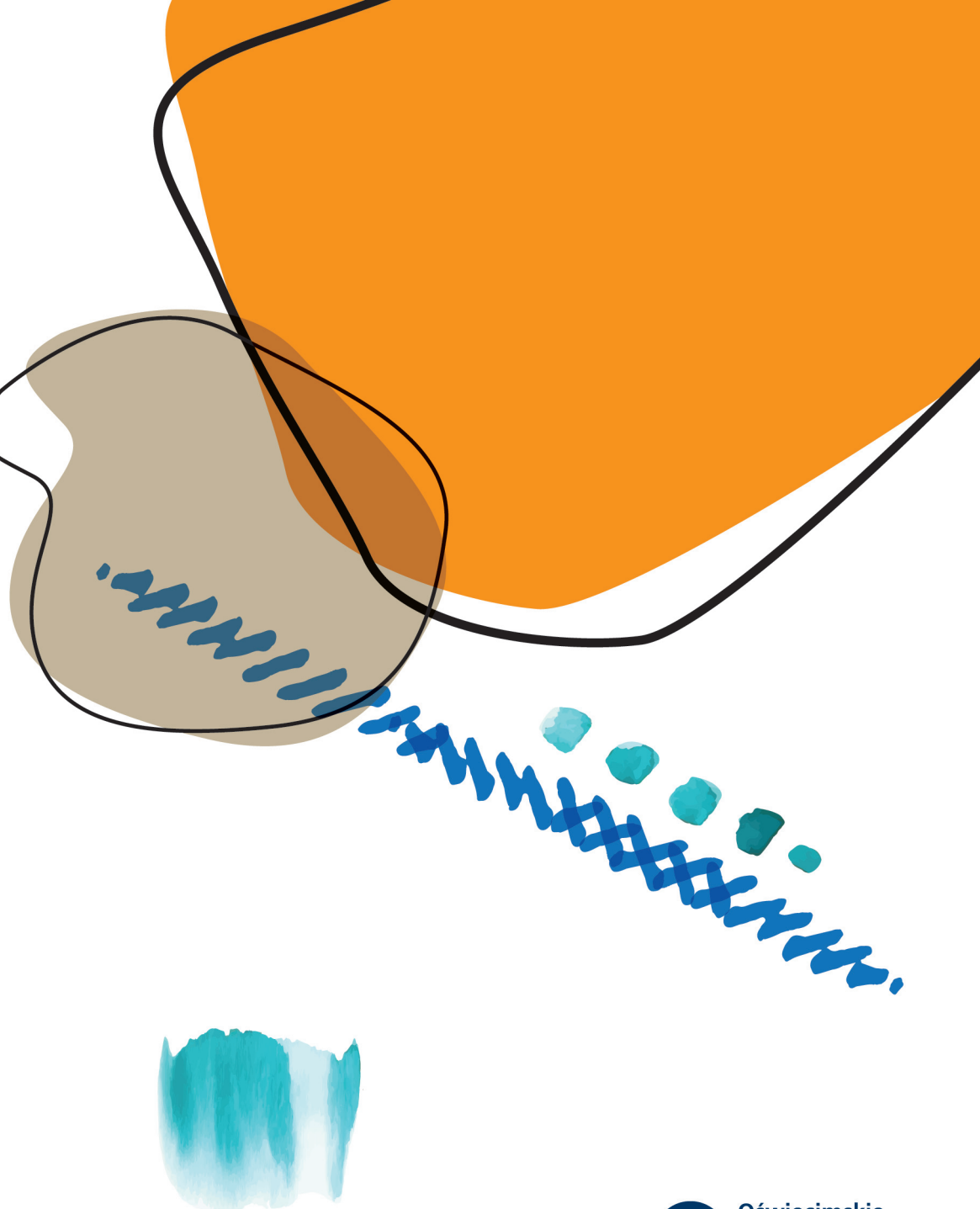
Andrzej Liczmonik

Dzień jak nie co dzień (fragment).....	34
--	----

Anna Piliszewska

„Drżenie”.....	36
----------------	----





ISBN 978-83-969033-0-3



Oświęcimskie
Centrum
Kultury